Rok 1898. Lwów, dnia 31. stycznia. Nr. 5.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

WACŁAW SAWICZEWSKI

DO POCAŁUNKÓW

Pocałowania brały usta moje.
Pocałowania silne, bezprzytomne,
Których wspomnieniem dotąd usta poję,
Choć innych pieszczot dziewczyny nie pomnę.

Pocałowania brały usta moje,
Co się czerwonem piętnem w duszy znaczą,
Łącząc nazawsze z sobą ludzi dwoje
Idących w życia wędrówkę tułaczą.

Pocałowania brały usta moje.
Oczy w szafiry źrenic się wpijały,
A na ramionach — miałem jak powoje:
Splecione ręce, niby wianek biały...

Dzisiaj, gdy szczęście odbiegło odemnie,
A duszę naszły ból i niepokoje —
Jest wspomnień światło co rozjaśnia ciemnie:
Pocałowania brały usta moje!

Gwiazdy i grzyby w podaniach ludu.

(Szkic etnologiczny)

Ciąg dalszy.

Nie bez legendowych upiększeń lud w krakowskiem (wieś Śmierdząca) wspomina o Warstacie Św. Józefa, mieszcząc go w konstelacji Małej Niedźwiedzicy. Powieści gminne przedstawiają Św. Józefa raczej jako stolarza, a nie jako cieślę. Robił on nawet tron dla Heroda — jak lud opowiada — lecz tu wydarzyła mu się rzecz nader niemiła. Przy braniu miary ze starego tronu, musiała zajść pomyłka, albowiem nowy okazał się za wysoki, a co gorsze, także za wązki czyli ciasny. Św. Józef był przeto w niemałym kłopocie, bo Herod był srogi jak zbójca. Chrystus Pan zatrudniony zawsze w latach swej młodości obok swego opiekuna, wybawił go cudem z kłopotu. Dał Św. Józefowi ująć krzesło tronowe za jedną poręcz boczną, a sam za drugą boczną pochwycił. Ciągnąc każdy w przeciwną stronę, tron, jak gdyby był skórzany, rozciągnęli do pożądanej szerokości, przez co także odpowiednio go obniżyli. W ten sposób zmieniony tron, Heroda zadowolnił.

Goethe w swoich pismach[1]) przytacza tę samą legendę w opowiadaniu „Sanct Joseph der Zweite“. Widocznie niektóre powieści gminne, szczególnie o życiu Św. Pańskich, szły od narodu do narodu w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, przynosząc nowiny o cudach — i utrzymały się pomiędzy ludem naszym.

Pomiędzy Rusinami w sanockiem utrzymuje się podanie o Rybie z groszem. Pokazują ją w siatce gwiazd, stanowiących według astronomji figurę Orła. Ma to być owa ryba ułowiona przez Św. Piotra, z której wydobył pieniądz na datek kościelny za siebie i za Pana, Dalej lud prawie wszędzie na Rusi zauważył dwie gwiazdy, którym dał nazwę: Zernyczki. (Źrenice). Jedna z nich dzień zamyka, a druga go odmyka. — W mniemanych tych dwóch zorzach odnajduje się świetną gwiazdę Wenus, świecącą jak wiadomo — zawsze tylko wkrótce po zachodzie albo przed wschodem słońca. Lud polski zowie ją stosownie do pory dnia, w której świeci: Jutrzenką lub Zorzą wieczorną.

Jeżeli astronomja Wojskiego (w Panu Tadeuszu), przez gminne podania o gwiazdach nie znajduje poparcia wszechstronnego, to przecież ma z niemi pewne punkta styczne. Nie jest tworem tylko fantazji lub poetycznem zmyśleniem, ale zgodną zapewne z podaniami l u na Litwie.
ud

[1]) Göthe's sämtliche Werke: t. 18. str. 16.

Obraz Wagi znają nasi wiejscy gwiaździarze, lecz aby na niej Bóg w dniu stworzenia

„Ważył z kolei wszystkie planety i ziemię,
„Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię“ —

o tem nie wiedzą. Na szalkach tych ważone bywają złe i dobre czyny człowieka po zgonie. Św. Michał przeznaczony jest do tego. Zdarzyło się — mówi podanie — że niejaki człowiek z kupczenia chlebem bogaty, odwoził na targ pełny wóz bochnów (bochenków chleba). Spotkał go dziad i prosił o jałmużnę, ale nic nie wyprosił. Droga była błotna, na drodze wyboje i dziury, a wóz zapadał i przechylał się tak, iż jeden bochenek spadł do błota. Powożącemu nie chciało się zejść z woza, więc zawołał na dziada: wyciągnij sobie ten chleb z błota; co też dziad uczynił. Gdy przyszło do obrachunku przed Św. Michałem, nie miał ów bogacz co położyć na wagę, a choć w grzechu ciężkim nie pomarł, bo nie krzywdził bliźnich, to przecież żadnych nie miał także zasług. Aż dziadowina nadszedł i ów chleb, już nie zabłocony ale świecący położył na wagę — i za ten dar, bogacz dostąpił zbawienia.

Sito gwieździste widzi lud w konstelacji zwanej włosami Beroniki. Mickiewicz powiada: „przez okręg gwiaździstego sita — Bóg przesiał ziarnka żyta,

Kiedy je z nieba zrzucał dla Adama ojca
Wygnanego za grzechy z rozkoszy ogrojca“.

Może być, że na Litwie takie istnieje podanie, lecz ani w Królestwie polskiem, ani w Galicji pomiędzy ludem podobnego nie spotkałem.

Sito znane ludowi, pochodzi od Trzech Króli. Sypali oni owies tem sitem swoim koniom, a zostawili go Panu Jezusowi wraz z darami, które do niego powkładali. Posługiwała się tem sitem Matka Boska, a po wniebowzięciu zawiesiła je pomiędzy gwiazdy. Było ono znacznie większe, ale czarci ważąc napitek tj. pierwszą wódkę, porwali je, aby odwar przecedzić — i przy tej sposobności część sita spaliła się. Św. Marek odzyskał znowu sprzęt z rąk szatańskich, nie mało się tłukąc po piekle — i zawiesił sito na dawnem miejscu.

Powszechnie też znaną jest pomiędzy wieśniakami gromada gwiazd, którą nazywają Kwoczka z kurczętami. U Rusinów nazywa się Kuroczka. Ma to być podarunek od pastuszka ofiarowany przy Narodzeniu Pańskiem — następnie kwoczkę umieszczono pomiędzy gwiazdami na pamiątkę.

Wóz Dawidowy — a według astronomji Wojskiego: Wóz anielski — „na którym przed czasy jechał Lucyper, Boga gdy wzywał w zapasy“ zapewne także u Litwinów znany być musi w powyższem znaczeniu. Lud ruski i polski zna Wóz ze złamanym dyszlem — i wskazuje jako taki konstelacją Wielkiej Niedźwiedzicy.

Na wozie tym — według podania — syn bogobojny wiózł matkę swoją, wielką grzesznicę do piekła. Chrystus Pan nie dopuścił jednak tego bo posłał archanioła, aby zatrzymał zapamiętałego syna i pouczył, że dziecku nie przystało sądzić i potępiać rodziców. Zanim archanioł święty sprawił poselstwo, syn z matką pędząc ku piekłu, uderzył dyszlem o róg pierwszej bramy, złamał go w połowie i tak go widzieć można teraz na niebie. Oświecony następnie przez posła niebieskiego, syn zawstydzony, konie odciął i rozpuścił. Potem odbywszy pokutę wraz z matką, dostąpił zbawienia.

Smok zodjakowy, Wąż — lub według Mickiewicza „Ryba, która Lewiatan się zowie“ — żadna z tych nazw nie jest znaną w astronomji gminnej. Na miejscu węża lud w krakowskiem, lubelskiem i sandomierskiem pokazuje Sznurek z guzami. Podanie odnośne do tego sznurka powiada, że matka Św. Piotra (Piotrowa mać), potępiona za grzechy do piekła, gdy się dowiedziała, iż jej syn jest klucznikiem nieba, zaczęła wzywać go o wybawienie. Św. Piotr wstawił się za nią i wyprosił łaskę Bożą. Rzucił tedy matce sznur, na którym porobił guzy czyli węzły, aby wspinając się po nim, łatwiej się trzymać mogła. Inne duszyczki widząc sposobność wydostania się z mąk piekielnych, czepiały się do Matki Św. Piotra, aby wspólnie z nia dostąpić zbawienia. Ona obruszyła się jednak i zazdrości pełna rzekła: „Mnie syn u Pana wyprosił a nie was!“ Szamocząc się i strząsając dusze, przerwała sznur i wpadła jeszcze głębiej w ognie, zkąd żaden głos do nieba już nie dochodzi. Przerwana część sznura wisi na niebie jeszcze i widać go z guzami świecącymi niby gwiazdy.

Znaną jest nakoniec pomiędzy gminem figura Krzyża. Lud do tej figury zalicza pięć gwiazd drugiej wielkości, a wierzy, że ich tam w przestrzeni więcej jest, lecz stają się widocznemi tylko wtedy, gdy Chrystus Pan krzyż ujmie w swą rękę; wtenczas jaśnieje cały gwiazdami. Kiedy Syn Boży zasiądzie na sąd ostateczny, wtedy krzyż ten będzie trzymał niby berło. Przedtem jednak krzyż ogniem spadnie na ziemię i spali wszystkie na niej góry i zrobi się Jozafata dolina, na której sąd się odbędzie. (Powiat grodecki). Są też tacy na ziemi, którzy wcale nie widzą figury krzyża, szczególnie czarowniki i zatraceńcy.

Takie podaniowe gwiazdy krążą przed wzrokiem gminu na nocnem niebie. Są to jakby jaśniejsze ogniska etapowe dla wyobraźni ludowej i promienne wspomnienia jego ducha ospałego. Jakim sposobem umysł tak napełniony legendowem światłem, cudami boskiej wszechmocy i prawdą nauk obyczajowych nagle zanurzyć się potrafi w gruby mrok zabobonu, to istotną stanowi zagadkę. Poznajmyż to królestwo czarnej wiary.

Już same sny o grzybach, wieśniaczki uważają za zapowiedź nieszczęścia. „...Sen mi przyszedł — wyrzeka stara matka nad chorą córką — jakobym po lesie czystym chodząc, grzybki brała. A nazbierawszy fartuch pełen, poczęłam je na grzędach sadzić — a wysadziwszy — do domu idę, aż patrzę w fartuchu jeszcze jeden ostał taki malutki; tak się zawróciłam do tej grzędy, żeby i tego przy tamtych zostawić — i zasadziłam go — na końcu.

Mówiłam ja sen babom — a one rzeką: Nie dohodujesz się ty dziatek — nie dohodujesz... Bialutkie moje dziatki, cichutkie, czyściutkie, ino — że pożyczone — do czasu — aż je złe moce wezmą!“ [1])

W okolicach lesistych lud przy grzybobraniu przestrzega pewnych prawideł zabobonnych, gdy wieśniacy innych wsi wyśmiewają podobne praktyki, nazywając je „ni do czego“.

W lubelskiem (koło Turobina i Tarnawy), zważają na to, aby idąc na grzyby, nie przeżegnać się, ani modlić, bo huby pochowają się pod ziemię.

Trzeba się jednak koniecznie umyć. Niektórzy ludzie wcale grzybów znaleść nie mogą, bo „ono ich omroczy, ta zniewidzi — a śmiać się do nich będą tylko psiuki“. (Gatunek trujących grzybów).

Edmund Kolbuszowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Hrywda — powieść przez Marję Rodziewiczównę. Warszawa 1891.

JULJUSZ ZEYER

KRÓL KOFETUA.

(Przekład z czeskiego).

Dokończenie.

Położył mu rękę, błogosławiąc, na głowie, z której król hełm był zdjął, głęboko chyląc się przed starcem. Po chwili wyprostował się Kofetua, skinął piastunowi raz jeszcze ręką, uśmiechnął się smutnie. — i już oto na czarnym rumaku gonił w dal, a za nim huf cały rówieśnych mu druhów. Srebrnie dzwoniły ich zbroje, srebrnie połyskały. Jeźdźcy zanurzali się coraz bardziej we mgłach dalekiego widnokręgu, aż wreszcie oczom ciągle za niemi patrzącego i ciągle błogosławiącego starca zniknęły.

Król Kofetua jeździł długo po świecie dalekim, jeździł od miasta do miasta, od grodu do grodu, od wioski do wioski, zaglądał do samotni leśnych, wstępował na wysokie góry, żeglował do pustych ostrowów, lecz nigdzie nie znalazł tej, której szukał. Król Kofetua i jego rycerze bywali gośćmi w pałacach z kryształu ze złotemi bramami, w domach z marmuru z bronzowemi wroty, zasiadali w salach, których stropy wspierały się na kolumnach z jaspisu, za stołami z hebanu, wchodzili do ogrodów, kędy drzewa pod róż modrych brzemieniem ku wodom djamentowego chyliły się blasku; król Kofetua i jego rycerze wstępowali do twierdz, wznoszących się na urwistych skaliskach, gdy słychać było wciąż poszczęk oręża, nawiedzali zamki, śniące w gajach, gdzie słodkie śpiewy trubadurów szły w zawody z świegotem drozdów i słowików, szukali w domach kupców i mieszczan, w dworach białych, strzelających z morza dojrzałych, cicho, sennie szeleszczących kłosów, wchodzili do chat słomą poszytych, zaglądali i w mrok więzień — ale nigdzie nie było tej, której szukali.

Co kobiet i dziew tak widzieli, tu uginające się prawie pod ciężarem djademów i klejnotów i wlokące brokaty po chalcedonowych podłogach, tam klęczące, jako lilje w bieli dziewiczej w mrokach katedr prastarych, ówdzie pracujące pod skwarem słonecznym na polach i niwach, a gdzieindziej jeszcze marzące w pełnych woni ogrodach! Widzieli nawet one otulone w habity zakonne i wołające w ekstazie do Boga za gęstemi kratami klasztorów! Ale tej, której szukali, nie było między niemi wszystkiemi, i król Kofetua stawał się coraz bledszym. Znużenie opanowywało nie ciało jego, lecz serce, nadzieja jego gasła, i rzekł wreszcie w smutku:

— Jej nie ma nigdzie, ona istnieje tylko w snach mej duszy! Ach, tęsknota moja jest tym promieniem, co wiecznie pada w mrok i nigdy niczyjemu oku światłem nie będzie!

I zwiesił głowę i w beznadziejnym smętku jechał w dal pustą, a za nim chmurnie, milcząco ciągnął huf jego rycerzy.

Aż jednej nocy przyszli do miasta na wysokiem wzgórzu, zbudowanego z modrawych, przejrzystych marmurów, księżycową przesiąkłych poświatą. Widzieli od podnóża góry, przez otwartą bramę, ulice; były puste i bezludne, tylko w samej głębi wielkiego placu, kędy pięć fontan szafirowe wody w niebo miotało, błyskało coś, jak światłość biała, która ludzką przybiera postać. Od bramy środkowej wiodły szerokie schody po stoku w dół ku lśniącemu jezioru, modremu jako marmur budowli i wież, kolumn i portyków tego niewidzianego miasta. Po obu stronach schodów spływały cicho jasne wody, szukające spoczynku w łonie jeziora, a po samych schodach słaniała się wstęgą magiczną smuga poświaty miesięcznej.

I było cicho, cicho, tylko te wody śpiewały. Z niebios, w których głębi światło zlewało się z mrokiem, dżdżyły marzenia i gwiazdy spadające. Owa biała światłość, która zdawała się kroczyć przez plac, kędy fontany tak tęsknie wytryski swe ku ziatującym gwiazdom rzucały, stała teraz w bramie — i, o dziwo! była to młoda dziewczyna. Zstępowała powoli po schodach, przez które spływał pas poświaty miesięcznej, i zdało się, ze sama księżycowa bogini unosi się tak na falach swej własnej jasności; ale cała najbielsza światłość biła tylko z czoła ze słoniowej kości tej niewypowiedzianie pięknej i świętej postaci kobiecej. Była wysoka. Włosy miała ciemne jak noc i pełne błękitnawych odblasków, Oczy jej były modre, jako marmur przejrzysty, z którego owo miasto apokaliptycznej powierzchowności wyciosane było, a jako niebo, w którem mrok zlewał się ze światłem, roniła głąb tych jaśniejących a wpółomdlałych źrenic — gwiazdy i sny! Nigdy jeszcze podobne oczy na świat nie patrzyły; przez tajemniczą jakąś właściwość spoglądały one tylko w dal, zawsze w dal, i żaden przedmiot bliski w nich się nie odbił. To dawało im czar jakiś zagadkowy, nieziemski, nęcący i razem napełniający tęsknotą. Król Kofetua zeskoczył z konia, dech mu w piersiach się wstrzymał, złożył ręce, jak do modlitwy.

— O duszo moja — zaszeptał — raduj się! Znalazłem tę, która jest panią twą. Znalazłem tę, której po świecie tak długo i daremnie szukałem!

Zbliżył się do niej, gdy właśnie zstępowała z ostatniego stopnia i nogą ziemi dotknęła.

— O zjawisko nadziemskie, — zaszeptał król Kofetua — czy wychodzisz z miasta marzeń, aby przynieść spokój i mir duszy mej za tobą stęknionej?

Milczała i patrzyła w dal nieskończoną.

— Powiedz! — prosił król Kofetua — czy widzisz mię przed sobą i czyli głos mój dochodzi do twojego ucha?

— Widzę twą postać w dali, tonie w jasności miesięcznej. Słyszę twój głos. Czego żądasz odemnie? — odpowiedziała nareszcie powoli.

Tęsknota niezmierna ścisnęła mu serce. Ten głos, tak słodki, tak miękki, płynął jak gdyby z dali nieskończonej, i król Kofetua miał nagle smutne przeczucie, że czarowne zjawisko zostanie mu nazawsze dalekiem, choć tak blizko, tuż przy nim stało. I było mu nagle, jakby morze między nią a nim wzdęło się i szerzyło, jakby otchłań bezdenna tego nieba nocnego ich rozdzielała!

Serce bić mu przestało, wpatrywał się rozpacznie w marzące, zagadkowe, ku dalom odwrócone

oczy anielskiego widziadła i zawołał w niepokoju śmiertelnym:

— Zaklinam cię przez Boga żywego, byś mi rzekła kto jesteś?

— Czyż nie widzisz? — odrzekła.

Wskazała na swą suknię i podniosła jak we śnie proszącą o jałmużnę dłoń. Król Kofetua ujrzał, że suknia była gruba, zgrzebna, podarta, że białe jej, niby z kości słoniowej nogi bose były i pokrwawione w nieskończonej, błędnej przez świat drodze.

— Tyś żebraczka? — wykrzyknął zdumiony.

— Tak! — rzekła swym jak ze snu płynącym głosem, utkwiła oczy w dali i jęła powoli iść białym gościńcem, który wił się w koło jeziora i wiódł ku ciemnym lasom, dumającym na jasnym widnokręgu.

Król Kofetua stał chwilę cicho, jak w słup obrócony, potem opamiętał się, położył palec na ustach, dając rycerzom swym znak milczenia i skinął, by za nim jechali. Od chwili tej trzymał się wciąż za dziewczęciem w przystojnem oddaleniu, a rycerstwo jego jechało za nim tak cicho, z takiem wzruszeniem i z takim zapałem jak on sam. Rój białych planet wędruje tak przez nieskończoność niebios, bez gwaru, niemo, jaśniejąco, za djamentowem słońcem, które im duszą jest. Dziewczę szło niezmordowanie, dzień w dzień, od rana do wieczora, a oczy jej w marzącej tęsknocie patrzyły nieustannie w nieznaną i nigdy niedoścignioną dal, i zdawało się, jak gdyby ani przeczuwała, że za nią ten pięky młodzian w zbroi srebrnej z hufem świetnego rycerstwa wciąż jedzie. I przyszli tak do głębokich dolin alpejskich, przez które szybko zielone toczyły się rzeki, kroczyli przez góry, na których szczytach chmury się tworzyły i w lazur niebios wstępowały, jechali koło urwisk, z których skakały wodospady, koło stoków i pochyłości, gdzie ciemne sosny i świerki szumiąc dumały, a w cieniu ich krynice, ku blademu, srebrem przetykanemu niebu modre oczy swe otwierały. Przyszli do zawartych stronnemi skałami przesmyków, przez które niegdyś tłumy barbarzyńców północy, jak spienione potoki, do ziemi słońce się waliły, wyszli w końcu na niwy, gdzie na drzewach złote owoce między ciemnemi, metalicznie połyskującemi liśćmi się kołysały, weszli do ziemi wyniosłych laurów i poburzonych świątyń marmurowych, kędy pozwalane z piedestałów posągi bogów w smętku i prochu leżały, kędy mistyczne katedry obok tych zwalisk w górę się piętrzyły, i nareszcie wkroczyli, gdy pewnego dnia słońce ku zachodowi się chyliło, do martwego miasta, niegdyś potężnego i wspaniałego niedaleko morza i niedalego ogromnego, pinjowego lasu. U grobowca, którego kopuła była wyciosana z jednego, olbrzymiego złomu granitowej skały, u grobowca, kędy spoczywał bezsilnie proch niegdyś wszechwładnego króla gockiego, przodka króla Kofetuy, zaszedł tenże po raz drugi drogę żebraczce i rzekł:

— Jestem królem także. U morza sinego stoi mój mocny, obronny, wyniosły gród. Ty żebrzesz po drogach, a nogi twe, białe jak kość słoniowa, bose są krwawe od długich pielgrzymek. Posadzę cię na tronie. Koronę włożę ci na głowę. Będzież żoną moją i królową państw moich niezmiernych. Zgadasz się?

— Po cóż miałabym z tobą iść? — zapytała, utkwiwszy te zagadkowe źrenice swe w dali. — Nieskończoność większa jest, niż twoje państwa, a jest państwem mojem.

Król Kofetua zwiesił głowę i odpowiedział:

— Czyliż nie smutno ci wiecznie tak wędrować? Spoczniesz na tronie mym, a na sercu mem dojdziesz do kresu błędnej swej drogi. Przestaniesz tęsknić, i oczy twe nie będą wiecznie spoglądały w oddal nieznaną.

— Myślisz? — odpowiedziała, i oczy jej stały się bardziej marzące, niż kiedybądź.

Król Kofetua rzucił się przed nią na kolana.

— Tyś moja tęsknota! — zawowołał składając ręce — o, nie daj mi umrzeć z boleści! Czylisz nienawidzisz mnie?

— Czemużbym cię nienawidziła? — odrzekła. — Toć nic złego mi nie zrobiłeś.

— Bądź moją zatem! — błagał król Kofetua.

Nie odpowiedziała, zachmurzyła się, wreszcie rzekła:

— Nie kocham cię, królu. Miłość twoja bez wzajemności przeminie jak sen.

Łzy lały się pięknemu młodzianowi po zbladłej twarzy, stłumił wszakże łkanie, które mu piersi wznosiło, i szepnął:

— Miłość moja nawet bez wzajemności, nie przeminie. Miłość rodzi się z tego, żywi się tem, co daje, nie tem, co odbiera. Bądź moją, bądz moją!

Spuściła powoli głowę i rzekła smutnie:

— Weź mię więc, abyś dłużej nie cierpiał.

Bez słów, oszalały ze szczęścia, porwał ją na piersi. Szli potem przez martwe to miasto wielkich bazylik i pustych pałaców, kwitnących ogrodów i wiecznie pamiętnych grobowców, szli bezludnemi ulicami i weszli do świątyni, gdzie z migotliwego złota greckich mozajk białe procesje apostołów i proroków, niby postacie apokaliptycznego poematu, wielkiemi źrenicami na nich spoglądały, a za niemi, z tegoż jaśniejącego tła, symboliczne zwierzęta, tu jelenie gaszące pragnienie u krynic, tam gołębie, pijące z szerokiego naczynia, wynurzały się harmonijnie, zlewając poetyczny wdzięk swój z epiczną podmiotowością ludzkich postaci na tych obrazach.

Pod baldachimem, okrytym przepysznemi haftami, na którego ciemno lazurowej głębi złote gałęzie, latorośle i kwiaty niewidzianych na ziemi roślin w pełnej wdzięku harmonji plotły się i przewijały, stał niedaleko wspaniałego sarkofagu tron ze słoniowej kości, mistrzowską rzeźbiony ręką, pełny wypukłych obrazów lwów i i ptaków, winogradów i kłosów, świętych i aniołów. Na tronie siedział stary ksiądz, odziany w purpurę, z oczyma głęboko zapadłemi, ale świecącemi jak karbunkuły, z rękami wyschłemi i pożółkłemi, jakby z kości słoniowej, a połyskującemi całą skarbnicą prastarych pierścieni, iskrzących się szmaragdami i rubinami w mroku świątyni. U nóg tego książęcia kościoła kląkł król Kofetua i ręką drżącą ze czci głębokiej, jak gdyby umarłego dotykał, pociągnął go za płaszcz purpurowy, prosząc, aby mu błogosławił i przed Bogiem z żebraczką go zaślubił.

Wstał pomału stuletni starzec i, jako ze snu zbudzony, zwolna otrząsał się z nieruchomości, opierając się o sarkofag z marmuru, bronzu i srebra, w którym widać było przez wązki otwór dotlewające, zczerniałe zwłoki rzymskiej Augusty, siedzącej na nizkim stolcu z szylkretu i konchy perłowej; próchno i popiół w świetności złotych klejnotów, pereł i drogich kamieni i w upokarzającej nicości i straszliwem osamotnieniu grobu! Ksiądz chwiejnym krokiem oddalił się od tego pomnika pychy i krótkochwilowości ludzkiej, uśmiechnął się

w zamyśleniu do pięknych postaci króla Kofetuy i jego oblubienicy, postaci zdających się mówić tak dotykalnie o szczęściu, wiośnie i nadziei, zwrócił się ku ołtarzowi, zbudowanemu z przejrzystego alabastru egipskiego, przez którego rzeźbione, blado-żółte jak księżyc ściany, gorejące wewnątrz srebrne lampy słodką, niby brzasków rannych światłość w półmrok kościelny rozlewały, i tam połączył ręce oblubieńców na związek wieczny.

Jako w śnie, ujął król Kofetua, po świętym obrzędzie, żonę swoją w pół, posadził ją przed siebie na czarnego rumaka i w cwał popędził z miasta martwego, które za nim zapadało w mgły, ku zorzom nowego żywota.

Jechali długo niezmiernym lasem pinjowym, z którego wonie biły ku niebu, jak upajający dym z kadzielnic olbrzymich. Trawy wzdymały się i uginały, jak fale jeziora, a były pełne białych gwiazd, tak, iż zdało się, że droga mleczna rozsypała się w pyłki i jako śnieg w łono boru napadała. A ptaki śpiewały i wietrzyk szeleścił. Płaskie, szerokie korony pinji tworzyły coś, jakby ciemne warstwy na jasnem za niemi tle widnokręgu, coś jakby ciemnozielone obłoki kupiące się w długie, długie pasma równoległe jedno nad drugiem, a w oddali słychać było szum morza, jak nabiegało na nizki brzeg i znowu pierzchało w tył, w swe własne, nigdy nieukojone, nigdy miru nie znające łono...

Jechali długo pinjowym lasem, aż wreszcie dojechali do dmących się fal tego morza, na których korab żeglarzy północnych właśnie kołysał się w słonecznych blaskach. Miał postać smoka złotego, a żagle jego były czerwone jak krew. I korab ten zaniósł króla Kofetuę i żonę jego przez szumiące wód bezbrzeża na północ, gdzie zamczysko, groźne jak burza, na wysokim chmurzyło się brzegu. Uroczysty był to wjazd, i nikt się nie dziwił, że król żebraczkę tę pojął za żonę, bo piękniejsza była nad wszystkie dziewy, jakie dotąd się były zrodziły.

Szał radości bił aż w niebiosa, a dzwony nie przestawały wydzwaniać, i tylko jedna smutna była w zamku twarz — twarz króla Kofetuy. Nikt wszakże tego niemego jego smutku nie spostrzegał, prócz starego piastuna i do tego rzekł król:

— Jak mogę szczęsnym być, gdy dusza jej gdzieś w nieznanych błądzi oddalach? Dała mi słodkie ciało swe, dała mi współczucie swe, ale miłości mi nie dała. Trzymam ją w objęciach — a jednak tęsknota ma do kresu swego nie doszła. Żona ma, acz na sercu mojem spoczywa, jest mi zawsze daleka!

A piastun rzekł mu:

— Męczysz sam siebie, a nie masz przyczyny. Żona twa miłuje cię, wierz.

Ale król wstrząsnął głową.

— Pójdź ze mną — rzekł — a zobaczysz. Nigdy oczy jej nie utkwiły w moich, acz z utęsknieniem rozpacznem spojrzenia ich szukam. Pójdź, a zobaczysz!

I zwołał król Kofetua cały swój dwór, aby królowej oddawano hołd, i wiódł swą żonę do sali bursztynowej, i posadził ją na tronie ze srebra, nad którym brokatowy jaśniał baldachim, i kląkł u bosych nóg żebraczki, białych jak kość słoniowa a zakrwawionych niegdyś od nieskończonych przez świat pielgrzymek. U nóg tych złożył swą djamentową koronę i patrzał w górę ku żonie, i żebrał w niemym bólu o jedno spojrzenie. Ale jej oczy błądziły przez otwarte sali podwoje gdzieś w dali, gdzie między kolumnami z porfiru sine morze ku zamkowi prześwitywało, kąpiąc szumnemi wały marmurowe pałacu schody.

I bladł, bladł coraz bardziej król Kofetua, i zaciskał konwulsyjnie dłonie, i szeptał: „Miłość ma wzrasta przez to, że się stale oddaje. Wzrasta — ale trawi mnie, jak promień trawi olej w lampie!“

A tymczasem przynoszono królowi hołd czterech żywiołów. Naprzód matki naszej, wilgotnej ziemi. Dżdżyły róże i lilje, i wszystkie kwiaty niw, i młode kłosy pól na srebrny tron, a król Kofetua dodał do nich całą tkliwość swego zbolałego serca — ale jej oczy, acz uśmiechała się słodko, patrzyły w dal.

Niesiono hołd żywiciela naszego, czystego powietrza. Słowiki i drozdy rozśpiewały się w bursztynowej sali, najczarowniejsze dźwięki skrzypiec i fletni przewiewały zamek, jak chóry anielskie, a król Kofetua dodał jeszcze wszystkie lazurowe sny swojej duszy — ale oczy królowej, acz w uniesieniu złożyła ręce, patrzyły w dal.

Niesiono hołd koicielki wszech stworzeń, głębokiej wody. Polał się strumień cały jaśniejących pereł przed tronem, a król Kofetua dodał jeszcze wszystkie łzy swoje — ale ona, acz oczy jej wilgły, patrzyła w dal.

Zapalono, jako hołd najpotężniejszego druha ludzkości, świętego ognia, wszystkie wonności, przypławione z ziem obcych, dalekich, do kraju, a gdy dymić jęły ze złotych i srebrnych kadzielnic i napełniły salę obłokami, przez które prześwitywała jeszcze tylko jasność morza i gwiezdna zorza tych dwu czarodziejskich, tajemniczych, nieodgadnionych oczu żebraczki, zapatrzonych tak tęsknie w dal — wycisnął król Kofetua pocałunek na jej nogach, białych jak z kości słoniowej, a w pocałunku tym był cały żar jego miłości, cały czysty ogień jego duszy, cała młodzieńcza gorącość jego krwi i ostatnia iskra jego znicestwionego żywota. Jak złamana lilja, leżał martwy na ziemi.

Rumieniec przeleciał, na dotknięcie jego ust, bladą jej twarz, i śród wyrzekania całego dworu lały się wdowie króla Kofetuy gorzkie łzy z oczu; zajękła, siedząc na srebrnym tronie nieruchomie jak posąg, z djamentową koroną na głowie, zajękła potrzykroć głęboko, ale oczy jej zamglone płaczem patrzyły jednak zawsze jeszcze w dal, w nieskończoność, w rozmarzoność, w zagadkowość, bo inaczej patrzyć — na wieki nie było im dano...



ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Naczelnik pilotów jechał drogą na południe, posiadał rączego konia i doganiał wszystkich. Spotkał też Njaedela pieszo.

— Siadaj z tyłu, Njaedel!

Njaedel usłuchał i pojechali dalej. W chwilę potem dogonili jakiś wóz, który posuwał się naprzód powoli.

— Z drogi! — ryknął naczelnik.

Trwało to jakiś czas, nim ciężki wóz usunął się na bok. Naczelnik przejechał.

Na wozie siedział ten z kwaśną miną. Nie śpieszyło mu się bardzo, a długa droga nie mogła go też usposobić weselej.

Stara, kasztanowata klacz szła lub wlokła się przy dyszlu, była już zupełnie posiwiała ze starości, a miała taką długą sierść jak kora. Ten z kwaśną miną siedział, spoglądał na kasztana i myślał o bułanym; i naraz ogarnął go jakiś lęk przed powrotem do domu.

I żona i dzieci były przekonane, że przecież dzisiaj z całą pewnością powróci z bułanym. Najstarszy chłopiec włożył nawet do woza uzdę; miał go na niej prowadzić.

Wiedział, że w domu wyglądają go ze strychu. W każdym razie już zdaleka zobaczą, że nie ma bułanka. Ale będą sądzili, że ma przynajmniej pełną kieszeń banknotów i szylingów.

Spojrzał znowu w głąb woza; tam leży uzda. Jakże im to wytłumaczyć, że wszystko „odroczone“?

Stara klacz wyglądała jak kot wyciągnięty z wody; więc przypomniał sobie, tę delikatną sierść, jaką miał bułany i jaki był okrągły i gładki.

IV.

Gdy przybyli na podwórze Njaedela, wszedł naczelnik pilotów z nim razem do domu. Dom był pusty, a drzwi stały otworem. Kot włóczył się po kątach i miauczał płaczliwie.

Njaedel, nie mówiąc ani słowa, zaczął szukać i znalazł też coś do zjedzenia. Naczelnik siedział przez chwilę cicho i patrzył na tę niedołężną postać olbrzyma, który się kręcił dokoła i tak niezgrabnie brał się do niezwykłej dlań rzeczy.

— Słyszysz, ty, Njaedel — rzekł w końcu — sądzę, że powinieneś obejrzyć się za nową dziewczyną!

— Nie! — zawołał Njaedel i tupnął tak silnie o podłogę, że aż zagrzmiało.

— No, no, tylko mnie nie pożrej zaraz! — odparł naczelnik.

Podczas jedzenia prosił Njaedel naczelnika, aby mu napisał list do Krystyny. Ponieważ jednak w domu nic nie było, czemby, albo też na czemby napisać było można, przeto zgodzili się na to, że naczelnik ma list napisać u siebie w domu, a potem przeczytać go Njaedelowi.

— Ale co napisać?

— Nic o dniu dzisiejszym — odparł Njaedel.

— Nie, naturalnie, ale...

— Ma być napisane, żeby się na mnie nie gniewała i nie troszczyła się o mnie wcale; jest mi dobrze, bardzo dobrze, możesz napisać; nic mi nie brakuje...

— Że sam sobie doskonale dajesz radę i że ci jej nie brakuje.

— Tak, ale możesz napisać, że mi tęskno za nią — rzekł Njaedel i zaczął się posuwać w tył i naprzód.

— Ależ to nie będzie wcale pociechą dla niej, gdy się dowie, że ci za nią tak tęskno.

— Tak, tak! nie powinno tam być nic o tem! — rzekł Njaedel porywczo — sam o tem wiesz najlepiej, boć przecie chodziłeś do szkoły. Ale napisz tak, aby nie zasmucić Krystyny. Co do mnie, to wszystko jedno.

— A czy nie byłoby najlepiej napisać także do twego brata?

— Zapewne, naczelniku. Napisz do Andersa, aby był dla niej dobry. Jeżeli chce, mogę mu za to zapłacić.

— Możesz być przekonany, że będzie chciał.

— Anders ma się dobrze — odparł Njaedel — jako mały chłopiec poszedł w świat. Tak, matka tak mówiła, ona także... Ty, Njaedel, mówiła, ty jesteś wielki sztokfisz, ale Anders jest delikatny jak łasica.

— Dlaczego nie wziął dworku, skoro był najstarszy?

— Ponieważ chciał, abym ja go dostał.

— Wiedział, co robi, gdy cię zostawił na tem gałgańskiem gospodarstwie, a sam poszedł z pieniądzmi — rzekł naczelnik.

— Nie powinieneś mówić źle o Andersie — odparł Njaedel — był to dzielny chłopak. Przypominam sobie doskonale jak razem zbieraliśmy zielska dla matki. Anders niesłychanie szybko kładł je na płachtę.

— Ale ty ją niosłeś do domu.

— Co? Z pewnością nosiłem, bo byłem najsilniejszy.

— Czemże on właściwie jest, ten Anders? — zapytał naczelnik pilotów.

— Jest przy czemś wielkiem, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak się to nazywa.

Njaedel zaczął szukać w szufladzie jakiegoś starego listu od brata.

W tej chwili przy tylnych drzwiach nacisnął ktoś ostrożnie klamkę; Njaedel i naczelnik usłyszeli, że ktoś idzie przez kuchnię. Było już dosyć ciemno; tylko na północnym zachodzie jaśniał różowy pas i rzucał niepewne światło do izby.

Njaedel, zobaczywszy, że był to Soeren Boerevig, zasunął więc szufladę i rzekł surowo:

— Przychodzisz zapewne zobaczyć, czy dom wymieciony? Zobaczno dobrze w łóżkach, czy nie możesz wyciągnąć jeszcze trochę więcej zgorszenia...

— Prawu stać się musi zadość — odparł Soeren łagodnie — chciałem cię z serca upomnieć Njaedel...

— Co chciałeś? — zapytał ten.

Soeren nie odważył się twierdzić, że przyszedł tu wyłącznie w celu upomnienia, aczkolwiek był pomocnikiem proboszcza; dlatego też wbrew swemu zwyczajowi przystąpił odrazu do rzeczy.

— Rozmawiałem trochę z adwokatem Toftem — zaczął.

— O łozinie?

— Tak, rozmawialiśmy o tem trochę. Sądził, on, adwokat, że to głupia rzecz, że ja nie moge brać łoziny; mogłoby... mogłoby...

— Może wzbudzić zgorszenie? — zapytał naczelnik sucho. Stał w kącie przy piecu i nakładał sobie fajkę.

— Nie, naczelniku, tego właściwie nie było. Sądził, że wątpliwa jest rzecz z tym rowem.

— Mam mój kontrakt kupna, mam go! — rzekł Njaedel.

— Tak, tak! Masz go!

Soeren podszedł ku drzwiom i odwrócił się.

— To wszystko; chciałem ci tylko powiedzieć, że zaczniemy...

Ciąg dalszy nastąpi.

ADAM KRAJEWSKI

PRZYCZYNEK DO HISTORJI CZASÓW SASKICH W POLSCE.

Ciąg dalszy.

Charakterystycznem jest, że mimo iż w całej tej wojnie Polska nie brała udziału, ani też August III. jako król polski, lecz jako elektor saski, mimo tego w żadnym z listów, które tu podajemy, niema mowy o elektorze saskim, jako stronie wojującej, lecz wszędzie figuruje tylko „Król Polski", jakby elektor saski August nie był Fryderykowi zupełnie znanym.

Widzimy z dalszego ciągu, że królowi pruskiemu widocznie wiele na tem zależało, aby hetmana wielkiego koronnego (Potockiego) informować o swoich sprawach; w liście bowiem datowanym z obozu pod Rostokiem dnia 5. czerwca 1745, mniej więcej w miesiąc po pierwszym liście, pisze znowu do hetmana:

„Ponieważ wiem, ile Pana interesuje wszystko, co mnie dotyczy, mam nadzieję, że sprawię Panu przyjemność, gdy mu doniosę o wielkiem zwycięstwie, jakiem Najwyższy wojsko moje obdarzył w dniu 4. tego miesiąca pod Hohenfriedberg w księstwie świdnickiem. Gdy bowiem zjednoczone armie austrjacka i saska w sile przeszło 70.000 ludzi z początkiem tego miesiąca na Szląsk przez góry księstwa świdnickiego wkroczyły, aby moje szląskie kraje najechać i łupem z nich między sobą się podzielić, jak to ostatnimi czasy między dworami w Wiedniu i Dreźnie ułożono, pomimo ponownych zapewnień tego ostatniego, że zachowa neutralność względem mnie i moich państw, — Najwyższy Pan Bóg pośpieszył się zniweczyć niebezpieczne zamiary moich wrogów.

Liczba ich nie posłużyła do czego innego, jak tylko, aby powiększyć chwałę mego zwycięstwa i ich klęski. Zaatakowałem ich wczoraj pod Hohenfriedberg o 4-tej rano i Pan pobłogosławił memu orężowi, dając mi jedno z najświetniejszych i najzupełniejszych zwycięstw.

Armia nieprzyjacielska została zupełnie pobitą i dwie mile od pobojowiska ściganą, przyczem pozostawiła na placu boju przeszło cztery tysiące zabitych i rannych, a więcej niż pięć tysięcy jeńców, która to cyfra każdej chwili się zwiększa uciekinierami, sprowadzanymi przez moich żołnierzy. Liczę między jeńcami 5 generałów i więcej niż 30 oficerów sztabowych. Odebrano wrogom 60 armat, 66 chorągwi, 10 sztandarów i 8 kotłów.

Pochlebiam sobie, że weźmiesz Pan udział w tej zwiastowanej Panu szczęśliwej nowinie i cieszyć się Pan będziesz jeszcze więcej, powodzenie bowiem w tym ważnym dla mnie dniu, dla pańskiej ojczyzny tak samo jest korzystne, jak i dla mnie.

Jest rzeczą pewną, że gdyby się przedsięwzięcie wrogów było udało, Rzeczpospolita byłaby narażoną na wielkie niebezpieczeństwo, widzieć cenne zasady swej konstytucyj i jej wolności grzebane jedne po drugich; byłoby im się bowiem udało przez bezpośrednie złączenie Saksonii z Polską i przez zdobycie Szląska, daleko łatwiej z czasem tyle wojsk zgromadzić, ileby im się tylko zechciało, aby z najbliższej skorzystać sposobności, zniszczyć Rzeczpospolitę i koronę polską uczynić dziedziczną, co jest już oddawna niebezpiecznym zamiarem złych doradców króla polskiego i drezdeńskiego dworu i jego zauszników, aby mi Szląsk odebrać i aby tym sposobem usunąć z drogi księcia, troszczącego się o utrzymanie obecnego systemu rządów Rzeczypospolitej i jej znakomitych wolności, jakim właśnie ja jestem. Pochlebiam więc sobie, że przy tej sposobności walczyłem zarówno o dobro Rzeczypospolitej, jak i o swoje, i że wszyscy istotni patrjoci polscy wiadomość o zwycięstwie mojem z przyjemnością przyjmą i dziękować mi za nie będą.

Zanim skończę, nie mogę pominąć okoliczności, o której Panu w poprzednim liście wspominałem, o owych właśnie 6 regimentach, zorganizowanych w Polsce przez dwór saski. Wiadomo Panu, że ci ludzie odważyli się obecnie na uderzenie na Nową Marchię (*Neumark*), gdzie popełnili wiele rabunków i innych gwałtów. Można przypuszczać, że ci ludzie dopuściliby się jeszcze wiele więcej od tego, czego dopuszczali się w swoim marszu przez Polskę, kraju należącego do ich Pana, gdyby zwycięstwo przezemnie odniesione nie powstrzymało ich w ryzie. Nie wątpię, że udałoby mi się powściągnąć ich zuchwałość. Powodzenie, które Bóg dał memu orężowi, dostarczy mi dość środków po temu, aby ich upokorzyć. Ale jedno, co wzbudza we mnie niepokój, to, że nie mógłbym ich z ich kryjówek wypłoszyć, bez naruszenia terytorjum Rzeczypospolitej. Nie możesz mi Pan tego odmówić, ażebym nie ścigał nieprzyjaciela po wszystkich miejscach, a tem bardziej takiego rozbójniczego nieprzyjaciela, jakiem jest to nieregularne wojsko, które przeciw mnie w Polsce zwerbowano. Niechcę jednak być zmuszonym uciekać się do tego środka i przewiduję, że gdybym nawet tym rozbójniczym bandom dał uczuć moją zemstę, nie byłoby łatwo możliwem wszelkie trudności tak ułagodzić, aby naród, który ja wysoko cenię i kocham i którego przyjaźń tak mi jest drogą, że nie chciałbym powodować jakiejś w niej zmiany lub przerwy, niemiał do mnie jakiej urazy. Co mnie w tej sprawie czyni jeszcze ostrożniejszym, to, że jestem przekonany, iż dwór drezdeński wzmiankowane wojska nie tyle w widokach korzyści, jakieby mógł mieć przez najeżdżanie mego państwa, w Wielkopolsce zgromadził, ile bardziej jeszcze w tym zamiarze, aby przez te operacje zniweczyć dobre porozumienie, jakie widzi pomiędzy mną a narodem polskim i poróżnić

mnie z Rzecząpospolitą, a co już usiłował uczynić na ostatnim Sejmie wcale otwarcie. Spodziewa on się, że mu się to uda, tak samo, jak się już wplątał na początku bieżącego stulecia w wojnę ze Szwecją, której następstwa w pamięci prawdziwych patrjotów polskich jeszcze zupełnie nie wygasły, a czego należałoby się i teraz spodziewać po machinacjach, sprzecznych z ustawami Królestwa. Spodziewam się, że weźmiesz Pan to wszystko pod najściślejszą rozwagę i jestem przekonany, że nikt od Pana na to bardziej nie będzie zważał, i że Pan za przykładem swoich sławnych przodków, którzy byli po wszystkie czasy dzielnymi obrońcami wolności ojczyzny i według swego sposobu myślenia, jaki codziennie w ciągu swego długiego i sławnego żywota okazujesz, ani chwili nie zdradzisz tego zaufania, jakie na Pana włożyły ustawy i konstytucje Królestwa, i że uczynisz Pan wszystko dla unicestwienia niebezpiecznego przedsięwzięcia, a zarazem zażegnasz burzę, nim się ona rozpęta, tak przez odwołanie wszystkich świeżo w Polsce zaciężnych wojsk nieregularnych od moich granic, jak i przez stanowczy opór przeciw temu wszystkiemu, coby mogło ze strony Polski grozić bezpieczeństwu moich krajów. Obiecuję to sobie tak przez skłonność pańską dla mnie, jak i przez pańską gotowość w utrzymaniu dobrej harmonji między mną a Rzecząpospolitą; przyczem zapewniam Pana, że moja wdzięczność będzie tak wielką, jak silną jest moja chęć, kontynuować tę przyjaźń, jaka mnie tak szczęśliwie z narodem polskim łączy. Pana zaś zapewniam, jak przy każdej sposobności, o mojej szczerej przyjaźni i o tem, że na pierwszem miejscu stawiam zawsze utrzymanie waszych swobód i wolności.

Fryderyk."

Z powyższego listu łatwo pojąć, że hetman w tym wypadku, jako naczelny wódz siły zbrojnej Rzeczypospolitej, prowadził politykę na własną rękę, bez oglądania się na króla i resztę doradców korony. Widać z tego również, że Brühl, któremu niedawno jeszcze Fryderyk obiecywał udzielne księstwo w Rzeszy, nie dał się, czy nie mógł się dać złapać na taką gratyfikację. Znać, jako Niemiec, dobrze wiedział, że na słowa króla pruskiego nie wiele a może i nic liczyć nie można. Że tak być musiało, widać to z tego ustępu listu, do hetmana Potockiego pisanego, w którym się król pruski skarzy na złych doradców saskiego dworu, a chyba nie kogo innego jak Brühla miał na myśli, wiedząc ponadto dobrze, jak nienawistnym był tenże dla rodowej szlachty polskiej.

Z dalszego ciągu listu okazuje się także, że już wówczas król pruski pod pozorem wypędzenia nieregularnych wojsk, dla armii saskiej w Polsce werbowanych, czyli jak on nazywa „band zbrojnych" miał gust wkroczyć w granice Polski i może tam się zakwaterować; nie leżało to jednak jeszcze wtedy w jego planach, bo rozbiór nie był jeszcze na czasie. [illegible]lle mu przecież równie jak i Rosji, zależało na utrzymaniu bezładu w Polsce, poznać to można z pisma do hetmana, gdzie wielokrotnie kładzie nacisk na „utrzymanie systemu rządu, swobód i konstytucji Rzeczypospolitej". Utwierdza nadto hetmana, jako jednego z najzagorzalszych oligarchów w tem podejrzeniu, że August dąży do dziedzicznej korony, co byłoby ostatecznie tylko przyspieszeniem późniejszej uchwały wiekopomnej Konstytucji 3 Maja.

Nie wchodzimy w to, gdyż nie jest to zadaniem niniejszej pracy, czy hetman wielki poszedł na rękę Fryderykowi ściśle w myśl jego prośby wyrażonej w liście przytoczonym; dodamy tylko, że na tem korespondencja z nim się urywa. Najbliższy list, dotyczący wojennego stosunku króla pruskiego z elektorem saskim, gdzie jest także o sprawach polskich wzmianka, jest z daty 11. Grudnia 1745., pisany z głównej kwatery w Zgorzelicach (*Görlitz*) na Szląsku, do pana Villiers, ministra angielskiego, którego jako reprezentanta Wielkiej Brytanii pośrednikiem między wojującemi stronami korespondencja wymienia.

Ciąg dalszy nastąpi.

Wiadomości artystyczne i literackie.

Znany powieściopisarz Michał Wołowski, od roku dyrektor teatru łódzkiego, otrzymał pozwolenie dania dziesięciu polskich przedstawień w Petersburgu.

Panorama Golgoty, którą swego czasu mieliśmy i we Lwowie sposobność oglądać, cieszy się w Warszawie jeszcze dotychczas olbrzymiem powodzeniem.

We Wiedniu wystawiono z powodzeniem operę rosyjskiego kompozytora Czajkowskiego, osnutą na tle poematu Puszkina: „Eugeniusz Oniegin".

Tanie wydanie dzieł Mickiewicza (4 tomy, obejmujące około 1200 stron ścisłego druku) wyszło nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Cena wynosi razem 60 kopijek.

Eleonora Duse, słynna artystka dramatyczna, występuje obecnie z wielkiem powodzeniem w Wenecji.

Zaszczytnie znany malarz, Piotr Stachiewicz, wystawił w salonie Krywulta w Warszawie 10 rysunków węglowych, uplastyczniających poszczególne typy kobiece z powieści Sienkiewicza.

Nową operę czeską Zdenka Fibicha p. t. „Sarka" (której libretto odtwarza dzieje wojny domowej po śmierci Libuszy), wystawiono w Pradze. Opera podobała się ogólnie.

Oryginalny portret Mickiewicza, malowany z natury przez Aleksandra Kamińskiego, odkryto w zbiorach Muzeum sztuk pięknych w Warszawie.